

Burza nad Nowym Jorkiem

A romantic couple is shown in a close embrace, kissing passionately. They are positioned in the lower half of the frame. The background is a vibrant, stylized city skyline, likely New York City, rendered in shades of green and blue. A bright, jagged lightning bolt strikes down from the top right corner, illuminating the scene. The overall atmosphere is dramatic and romantic, with rain falling around the couple.

Antoni Marczyński

Antoni Marczyński

BURZA NAD NOWYM JORKIEM

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-74-6

Copyright © Leopold René Nowak

Projekt okładki: Przemysław Małachowski

ROZDZIAŁ I

W ostatnią niedzielę czerwca, po pięciu upalnych dniach i parnych nocach, Nowy Jork pocił się od rana tak, że pesymiści przepowiadali już na najbliższe godziny gwałtowne opady atmosferyczne i bóle reumatyczne.

Na podobną nutę zawodziła kruczowłosa Ampara, wróżka niezawodna, choć niezawodowa, z zawodu modelka malarza Ramona Pereza, z amatorstwa zaś wnikliwa obserwatorka życia prywatnego sąsiadów, zwłaszcza pięknej swej przyjaciółki Ireny, także modelki z konieczności.

– Okropna burza wisi na włosku! – powtarzała pulchna Ampara przez ostatnie trzy dni, oczywiście z przerwami, lecz coraz dramatyczniej.

Jak wiadomo, od czasów dwuznacznych wróżb wyroczni delfickiej, opiewanych w przysłowiu „na dwoje babka wróżyła”, prawdziwie przewidujący jasnowidze pozwalają światu interpretować co najmniej dwojako ich nieomyłne proroctwa. Dlatego też „okropna burza” w natchnionych i namiętnych ustach Ampary mogła oznaczać albo pioruny pospolite z deszczem, albo gromy domowe z powodu złego świadectwa w szkole jej faworyta, Pedrita, albo wreszcie... w związku z Ireną... nieszczęście lokalne najgrubszego kalibru, z gościnnym występem policji i pogotowia ratunkowego.

A nieszczęsny pechowiec, lokalny meteorolog, oznajmił przez radio i telewizję z tradycyjnym swym zamiłowaniem do elastyczności terminów, że porywiste wichry i gwałtowne deszcze zaczną chłostać Nowy Jork i jego okolice albo po południu, albo wieczorem, albo koło północy, lecz zaczną na pewno! Wobec tego zaleca się, aby amatorzy żeglugi na własną rękę po zatokach oceanu i zwolennicy piknikowania w górach nad strumykami, które tak niebezpiecznie szybko wzbierają w razie ulewy, mieli się na baczności lub wręcz pozostali tej niedzieli w domu.

Pomimo tych ostrzeżeń i przypomnień katastrofalnych skutków ostatniej nagłej powodzi, miliony nowojorczyków uciekły w niedzielę rano z betonowych wąwozów dusznej metropolii na pobliskie plaże, wysepki i w lasy, szydząc z meteorologa, że pewnie znowu pomylił się o parę dób i że jego szkwały nie nadciągną tu wcześniej jak we wtorek; zatem na razie można śmiało odpoczywać na chłodnym łonie natury wraz z czterema milionami dzieci i tych dorosłych szczęśliwców, którzy nie pracują także w soboty i przez to wylegują się co tydzień dwa razy dłużej na owym obszernym łonie. W przeciwnym kierunku podążali jedynie okoliczni farmerzy, którzy lubią rozrywki wielkomiejskie, a mają na nie czas tylko w niedzielę.

W tę samą feralną niedzielę kilkuset największych nowojorskich optymistów, to jest artystów-malarzy, znowu wyniosło z mieszkań i pracowni wszystkie swoje dotychczas nie sprzedane dzieła i dołączyło je do licznych innych eksponatów trwającej od miesiąca wystawy pod nazwą „Outdoor Art Exhibit”. Ta „wystawa sztuki pod gołym niebem”, bezpłatna i dla oglądających ją i dla wystawiających, odbywa się teraz w Nowym Jorku dwa razy do roku, zwykle od 20 maja do 28 czerwca i od 9 września do 2 października, rozumie się tylko w dni pogodne.

Stałym terenem tej wystawy są ulice dokoła Skweru Waszyngtona, najładniej zadrzewionego placu w Greenwich Village, ulubionej dzielnicy amerykańskiej cyganerii, studenterii, zgasłych gwiazd Hollywoodu, wschodzących gwiazdek Broadwayu, komet literatury, meteorów telewizji, jak również politycznych i filozoficznych eunuchów, snobizujących pięknoduchów, alkoholików, narkomanów, amatorów wszelkich perwersji, pijawek żerujących wyłącznie na artystach i cwaniaków naciągających na drobne sumki lub na poczęstunek pocziwców z innych dzielnic miasta i zamiejscowych turystów, których niczym ćmę do lampy ciągnie tutaj chytra reklama, że Greenwich Village to nowoczesna Sodoma i Gomora.

– Prawie każdy tu żyje z naciągania naiwniaków i snobów, tylko ty jedna jeszcze tego nie umiesz, tępą idiotką – grzmiał w swym studiu na piątym piętrze starej rudery przy Thompson Street rudowłosy dryblas, który cukierkami nagradzał dzieci sąsiadów za tytułowanie go kapitanem. – Przerwij to pranie, Ireno, pókim dobry! Teraz masz znieść obrazy do wózka i jazda z nim do stoiska Pereza! A siedząc tam uśmiechnij się zalotnie do przechodniów zamiast odstraszać ich swą pogrzebową miną!

– Odstraszają ich, Maksie, tematy twoich kompozycji – odcięła się Irena, bardzo szczupła szatynka z greckim profilem, a powiedziała to tak cicho, że jej słowa utonęły w szumie wody, którą właśnie wylewała do zlewu z dużej miednicy, gdzie leżały już wyprane męskie koszule sportowe, kalesony i piżamy. – Poproszę Amparę, by rozwiesiła to na dachu razem ze swoją bielizną. Ona też dziś coś pierze, choć... to przecież niedziela! Jedyny dzień w którym my, zaharowane panie domu, a raczej pracownice domowe, powinnyśmy mieć trochę wytchnienia... choćby tylko podczas letnich upałów...

Reklamację Ireny, skarżące się na swój los płaczliwie i monotennie, bez najmniejszego podnoszenia głosu, raczył jej rudy pan i władca dosłyszeć i szorstko załatwić od ręki.

– Milcz! Nie cierpię babskich skomleń! – warknął. – Ja też ciężko haruję, nawet w święta!

Na dowód swej pracowitości zepchnął na podłogę przyniesione mu rano przez Irenę i grube jak książka niedzielne wydanie dziennika „New York Times”, dźwignął się z pościeli i usiadł pośrodku dużego tapczanu w kontemplacyjnej pozie Buddy.

– Choć ostatnio więcej leżę niż chodzę, stale myślę, tworzę i komponuję, a to jest niewątpliwie najtrudniejszą pracą! Łatwe zdobywanie dolarów to twój resort, Ireno.

– Wciąż tylko mój? – gorycz malująca się w jej szafirowych oczach mówiła więcej od słów. – Twoja angielszczyzna jest już całkiem płynna.

– Ale mój akcent, moja wymowa zdradza cudzoziemca. Amerykanie zaś... z wyjątkiem snobów... bojkotują obcokrajowca, który chce zarabiać w Ameryce inaczej niż ciężką pracą fizyczną...

– Powiedz raczej, iż boisz się wychodzić za dnia na ulicę, odkąd ujrzałeś kogoś z Europy; kogoś, kto widać zna twoją przeszłość lepiej niż ja – wymamrotała pod nosem, wyciskając resztki wody z opłukanej bielizny.

– Zresztą moje realistyczne obrazy są tylko w guście mężczyzn. A ci targują się mniej i grymaszą słabiej, jeśli sprzedawcą towaru jest kobieta, oczywiście ładna i uśmiechnięta, a nie taka ponura płaczka jak ty – znów opadł na poduszki, ziewnął, ale łaskawie dokończył wykładu. – Dlatego w USA najpiękniejsze twarze i najzgrabniejsze ciała zatrudnia nie film ani telewizja, lecz kilka agencji graficznej reklamy wszelkich artykułów...

– Wszelakich, oprócz trumien i nagrobków; może my w takiej dziedzinie zrobimy początek? – mruknęła posępnie i nadal cicho.

– Nie kracz, Ireno, bo nuż śmierć nagłą sobie wykraczesz, jak twój brat – zarechotał rudowłosy, przeciągając się leniwie. Nagle podniósł głowę i zaczął rzucać krótkie rozkazy tonem koszarowej komendy: – Dość tej gadaniny! Baczość! Broda do góry! Uśmiech! Zęby wyszczerz! Bardziej! Taką minę masz mieć tam, przy stoisku! I wara mi tu wracać przed nocą lub bez dolarów! Zrozumiano? Więc w tył zwrot i biegiem marsz na posterunek!

– Burza wisi na włosku! – wróżyła w swym mieszkaniu Ampara, podbiegając do okna, by zobaczyć pierwsze gromy. – Irka pewnie chluśnie mu w twarz tylko resztką swej niedopitej, wystudzonej kawy, zamiast pełnym wiadrem wrzątku! Za to Maks skatuje ją znów szpicrózgą. *Ay qué pena!* Cóż za ból... dostać takim biczem! Irka nie skarży się przede mną, lecz widziałam jej pręgi – mówiła do Ramona, już ubranego i kończącego jeść śniadanie.

Wbrew tym przepowiedniom, zahukana Irena nie oblała swego wylegującego się tyrana żadną ciecżą. Ba, jeszcze zatroskała się o jego brzuch.

– Mnie nasycą owoce, ale kto tobie obiad ugotuje? – rzekła. – A ty chcesz mieć ciepłe potrawy aż trzy razy na dzień... nawet w południe!

W południe już i najleniwi spośród malarzy powystawiali wszystkie swoje nowsze, jak również nie sprzedane w ubiegłych latach dzieła, a stoiska ozdobili kuszącymi napisami: „Jedynie dziś ceny niższe o 25 do 75 procent!” „Tylko do obrazu zakupionego dzisiaj dodam gratis wspaniałą ramę!” Cały długi obwód prostokątnego Skweru Waszyngtona i „mankiety” jego 12 „ramion”, z których najdłuższe to słynna 5. Avenue, pokryła najjaskrawsza mozaika niezłych obrazów i znacznie liczniejszych bohomazów.

Obejrzenie jednym ciągiem kilkuset długich stoisk na rozgrzanych ulicach Nowego Jorku byłoby wyczynem równie męczącym jak wdrapanie się bez użycia windy na 102 piętro Empire State Building, najwyższego z drapaczy chmur. Dlatego zarówno platoniczni wielbienie sztuki malarskiej jak i jej producenci, ekscentryczni w stroju i owłosieniu, raz po raz odwiedzali okoliczne lodziarnie, kawiarnie i piwiarnie, po czym pocili się jeszcze mocniej. Roztropniejsi nie tykali żadnych płynów, tylko szli odpocząć na parkowych ławkach pod rozłożystymi drzewami Skweru Waszyngtona, którego południowo-zachodni róg jest dodatkową atrakcją dla szachistów i ich kibiców: na świeżym powietrzu i w głębokim cieniu stuletnich drzew podwójna podkowa ław, a między nimi 18 kamiennych stołów z wymalowanymi na nich dużymi szachownicami!

W tym właśnie uroczym zakątku, na wiosnę, gdy Ramon i Maks usiłowali nauczyć Amparę gry w szachy, a Irenę gry w warcaby, jedno z nich czworga powzięło w duchu niezłomny zamiar wydatnego przyspieszenia zgonu... oczywiście nie własnego i przyspieszenia go w taki sposób, iżby na nieszczęśliwy wypadek wyglądało wobec wszystkich to na zimno obmyślane morderstwo.

ROZDZIAŁ II

Środek Skweru Waszyngtona zajmuje duża kolistą sadzawka z wodotryskiem, który często strajkuje ku zadowoleniu turystów wolących bez otrzymania prysznicy sfotografować wyłot 5. Avenue poprzez marmurową bramę Łuku Triumfalnego. Stałą frekwencją cieszą się ławki w południowo-wschodniej części skweru, tam bowiem znajduje się końcowy lub raczej początkowy przystanek wielkich, zielonych autobusów z linii obsługujących całą 5. Avenue z przyległościami.

Gdy około godziny 1. po południu opróżniła się jedna ławka stojąca najbliżej niezgrabnego pomnika, jaki wystawili Garibaldiemu w parę lat po jego śmierci Amerykanie włoskiego pochodzenia, zaraz też podążyli ku niej nowi amatorzy odpoczynku w cieniu.

Pierwszy dopadł jej barczysty blondyn z okazałym wąsem, z pewnością nie nowojorczyk, gdyż wyekwipowany był jak zamiejscowi turyści i niósł pod pachą trudny do zmieszczenia w kieszeni „Guide to New York City”, przewodnik z mapami miasta i okolicy, wydawany co rok przez miejscowy Klub Automobilowy. Usiadłszy na lewym krańcu ławy, wąsał odsapnął, rozłożył sobie na kolanach mapkę Manhattanu, jeździł po niej palcem, a gdy znalazł na planiku to, co w naturze miał przed sobą, to jest wysoki Łuk Triumfalny, uśmiechnął się zadowolony.

Równocześnie od strony uniwersytetu docierał już do tej samej ławki brunatnoskóry, drobny brunecik o nachmurzonej twarzy, z bokobrodami wystrzyżonymi misternie jak u arenowych bykobójców hiszpańskich; jego czterobarwny strój, także plamy na dłoniach i pędzelek, wetknięty poziomo w gęstą i kędzierzawą jak u Murzynów czuprynę, zdradzały malarza. Tuż obok dreptał jego żywy autoportret, tylko o połowę niższy, nieco czystszy i jeszcze bez śladów zarostu na dziecinnej buzi, trochę zaniepokojonej z powodu jakiejś burzy wiszącej na włosku.

– Muszę z tobą pogadać jak mężczyzna z mężczyzną. Usiądź więc, Pedrito, i staraj się skupić bez dłubania w nosie – zaczął uroczyście wirtuoz pędzla, siadając w prawym końcu ławki i wskazując malcowi miejsce pośrodku. – Uważaj teraz: masz lat dziewięć, wyglądasz na sześć, choć jesz za trzech, nie wymawiając ci wilczego apetytu, i oto nie tylko w szkole spisałeś się marnie, lecz na dobitkę zrobiłeś coś, czym nie splamił się za młodu żaden Perez! Zaatakowałeś czynnie kobietę! I to brzydką!

– Wprost przeciwnie, tato. Ja broniłem się a pani Klapperstorch atakowała mnie... trzepaczką. Bez powodu! – W przeciwieństwie do ojca, mały Pedrito mówił po angielsku bez hiszpańskiego akcentu i szybko. – Bo ja chciałem trafić jej kochliwego kocura w plecy, a niechcący postrzeliłem go... trochę niżej.

– Jakaż hańba! Postrzeliłeś bezbronne zwierzę tak, że jego pani o tym wie? Zgroza! Oddaj mi tę broń palną natychmiast!

Pedrito zaczął z flegmą rozkładać na ławce swój przenośny arsenał. Prawie każdy mały chłopiec w Ameryce ma dwie do sześciu hałaśliwych imitacji rewolwerów, które uroczo obciążają mu pasek i porcięta ku piętom. Biedny Perez-junior posiadał tylko jedną pukawkę w kształcie brauninga, jedno łąso z matczyneę sznura do suszenia bielizny, jeden blaszany tomahawk i takiż nóż „do zdzierania skalpów z głów Indian”. Z ceratowej pochwy u niby – kowbojskiego pasa wyjął garść grubego śrutu i zwyczajną procę.

– To jest także zabawka, tato, a nie żadna broń palna – orzekł głośno, zerkając przymilnie na rośłego blondyna. Wiedział urwis, że w Ameryce publiczność zawsze staje w obronie małoletniego winowajcy i nie pozwala przetrzepać mu skóry, choćby już używał prawdziwych rewolwerów i co dopiero zakatrupił parę osób. – Senor! Sir! To jest tylko niewinna, dziecinna zabawka, prawda proszę pana?

– Z takiej zabawki, jak święta Biblia nas uczy – malarz Perez z naciskiem powołał się na ten autorytet – Izraelita Dawid zabił boksera najcięższej wagi, Faruka!... Hę? Nie Faruk mu było? Ale imię miał bardzo podobne...

– Goliat – odpowiedział blondyn. – Co prawda, ówczesna proca była całkiem inna. Z tej tutaj nie można by nikogo zabić ani nawet trafić...

– O, ja potrafię trafić wróbla! – pochwalił się chłopiec.

Zaraz też zaczął czarnymi oczkami szukać spokojniejszego celu wśród podskakujących tu i ówdzie wróbli.

– Wróbel to słabe stworzenie, wybierz, synku, raczej jakiś martwy cel, na przykład spodnie Garibaldiego.

Wtem wszystkie wróble i gołębie zerwały się z jezdni, chodników i trawników, spłoszone nagłą wrzawą wojenną, jaka wybuchła tuż pod pomnikiem oswobodziciela Włoch. Właśnie rozgorzała pod latarnią straszliwa bitwa pomiędzy dystygowanym jak lord z operetki chartem, niewątpliwie rezydentem jednego z okolicznych pałacyków, a wątpliwie czystym foxterierem żółtej maści.

Elegancko ubrana dama, towarzysząca chartowi, usiłowała go słowem i smyczą przekonać, że nie wypada mu zadawać się z byle kim. Podrażniony upałem psi arystokrata korzystał jednak ze swej wielkiej przewagi fizycznej i boleśnie karał żółtego wagabundę za brak obroży, smyczy, rasy i damskiej eskorty.

– Czyż nikt nie rozdzieli walczących? – lamentowała dama.

– Proca ich w mig rozdzieli, ale, tato, w którego strzelić?

– W silniejszego – odparł malarz równie cicho. – Choć w interesach to się źle kalkuluje, zawsze, synku, stawaj po stronie słabszych i...

Zanim papa Perez skończył swój wykład, Pedrito podniósł widełki procy i strzelił. Wykwintny chart kwiknął jak zarzynane prosię, dał takiego szczupaka, że obalił swą bonę czy właścicielkę, wyrwał jej smycz i rzucił się do panicznej ucieczki w stronę wylotu 5. Avenue, wciąż skomląc piskliwie.

Wątpliwy foxterier, otrząsnąwszy się z ulicznego prochu, w jakim go tarzano, szczekaniem obwieścił światu swe nagłe a niespodziewane zwycięstwo.

– Brawo, chłopcze! Trafić z procy na taką odległość – to sztuka, jakiej jeszcze nie widziałem – pochwalił malca blondyn, nie przeczuwając, iż wkrótce ujrzy w Greenwich Village coś stokroć bardziej zdumiewającego i wstrząsającego dlań osobiście.

– Ja prawie nigdy nie pudłuję, odkąd dano mi ten gruby śrut. Tym rozbiję każdą latarnię, którą kapitan wybierze. Żeby on tylko zapłacił tyle, ile mi za to obiecał...

Na skutek tej przechwałki Pedrito dostał się w ogień krzyżowych pytań ojcowskich i wnet wyśpiewał, od kogo otrzymał śrut oraz w jakim celu. Rewelacje chłopca wywołały u wąsatego blondyna uśmiech niedowierzania i pobbłaszania dla dziecinnej fantazji, lecz Ramon uwierzył synowi i nie ukrywał oburzenia.

– Pedrito, jeśli cię jeszcze raz przyłapię na konszachtach z tym rudym łotr... z Maksem, to... krew się poleje, jakem Perez! – rzekł z zaciśniętymi pięściami i ze złymi błyskami w oczach. – Por diez! Caramba! Damned son of a gun! – kłął, a przypomniawszy sobie, że zakazał dzieciom słuchać, gdy jakiś gbur przeklina, dodał ostro: na co czekasz, smarkaczu, na lanie? Marsz do matki!

Pedrito ulotnił się żwawo wraz z procą, mrugnawszy filuternie na wąsala. Ten zaś, słysząc soczyste epitety hiszpańskie i angielskie, miotane pod adresem jakiegoś sąsiada czy eks-kapitana Maksa, próbował uspokoić krewkiego malarza rozsądną perswazją.

– Przejmuje się pan niepotrzebnie, bo pański miły synek z pewnością buja, przesadza – zaczął łagodnie. – Czyż można uwierzyć, że jakiś oficer, ba, kapitan, więc chyba nie młokos, obiecał dziecku nagrodę za wandalizm i...

– Ten łajdak zdolny jest nawet do morderstwa!

– Teraz nie synek, ale pan sam przesadza. Gdzież dowody, że ów...

– Są! – znów wtrącił popędliwy Ramon. – Na własne oczy widziałem, jak Maks usiłował zamordować... mniejsza z tym, kogo. Przeszkodzono mu w tym, ale nie wątpię ani chwili, że on swą próbę ponowi! A jeśli mu się raz uda, to moja rodzina... to trzy niewinne osoby – poprawił się szybko – popadną w skrajną nędzę. Nędza w tropikach, skąd pochodzę, jest do zniesienia, bo owoców tam w bród, a odzież zbyteczna. Lecz brak pieniędzy w tak drogim i bogatym mieście jak Nowy Jork – to piekło udręczeń i poniżeń!

ROZDZIAŁ III

Powiedziawszy aż tyle, Ramon Perez przypomniał sobie nareszcie, że mówi do człeka zupełnie mu obcego i spojrzał nań podejrzliwie.

– Nie, pan mi nie wygląda na tajniaka ani na reportera węszącego za sensacjami – orzekł z ulgą, kiedy już obejrzał go sobie dokładnie od stóp. Nieznajomy miał ciężkie skórzane trzewiki, których nowojorczyk nie przywdziałby na taki upał, a głowę okrył europejską cyklistówką, jakiej w Ameryce nawet cykliści nie noszą już od wielu lat. – Pan na miłą pachnie farmą – stwierdził Ramon.

– Czyżbym w co wdepnął? – zaniepokoił się tamten i z dokładnością pedanta obejrzał podeszwy swego obuwia.

– Niemniej jednak – mówił dalej malarz, rozkładając jak do przeglądania zwinięty w rolkę kolorowy dodatek do New York Daily News, najpopularniejszego z miejscowych brukowców – nie mam prawa zanudzać pana swoimi...

– Ależ pan mnie wcale nie nudzi! – wtrącił wąsal żywo i szczerze. – To właśnie ja nudzę się co niedzielę gorzej niż mój pies na łańcuchu. Od chwili osiedlenia się w Ameryce żyję na farmie jak samotnik. Cieszę się więc, gdy zdarzy mi się rzadka okazja do pogawędki z

kimś, kto nie spieszy się po wariacku jak większość tubylców, ale ma czas posiedzieć trochę na ławce w parku.

Mówiąc to poprawną gramatycznie, lecz słowiańską w wymowie angielszczyzną, przysuwał się barczysty blondyn do drobnego brunecika coraz bliżej, wreszcie wstał, wyprostował się w całej swej okazałości i wyciągnął swą szeroką, spracowaną dłoń do kordialnego uścisku.

– Poznajmy się, jeśli pan nie ma nic przeciw temu, i pogadajmy sobie; jestem Józef Lubor rodem z Polski, rolnik, a dawniej żeglarz.

Jeszcze nie skończył ostatniego zdania, gdy mały malarz zerwał się na równe nogi i złożył mu ukłon żywcem wzięty z filmu o muszkieterach.

– Senor, nie tylko nie mam nic przeciw temu, ale cała przyjemność jest po mojej stronie – odparł dwornie potrząsając oburącz podaną mu dłonią. – Ja pochodzę z Puerto Rico, a nazywam się skromnie, bez szlacheckich ozdóbek: Ramon Aloysius Bustamente Velasco Perez.

– Bardzo mi miło, a ponieważ tu jest niemiłe gorąco, proponuję, abyśmy poszli na kwadransik do jednej z tych knajp, w których powietrze jest chłodniejsze. Oczywiście ja pana zapraszam i płacę. Zgoda?

– Don José, przyjmuję pańskie zaproszenie, a dowód mej wdzięczności za pański gest przetrwa wieki i będzie zdobił główną ścianę w salonie pańskich potomków, tak jak dziś zdobi muzea Rubens, którego płótna do moich ktoś przyrównał i...

I trafiła kosa na kamień... na niwie gadulstwa. Wprawdzie Ramon Perez nie był spragnionym pogawędek samotnikiem jak Józef Lubor i mógł z rodziną czy z sąsiadami nagadać się do syta, lecz pewnego tematu wolał przy nich nie poruszać. A właśnie ten temat... zbyt ryzykowny, żeby go omawiać z jakimś stałym mieszkańcem Greenwich Village albo Bowery... najgorzej łaskotał język, niepokoił umysł i burzył krew Ramona. Natomiast „don José” czyli pan Józef, dość świeży przybysz do Ameryki, farmer nie znający zapewne nikogo w Nowym Jorku, już przy drugim piwie wydał się Ramonowi idealnym kandydatem na spowiednika czy powiernika najsłynniejszych tajemnic osobistych. A potrzeba wyładowania ich, zrzucenia głazu z serca i ulżenia sobie na duszy od paru już tygodni wręcz rozsadzała małego malarza. Toteż Lubor rad nierzad musiał swoje bólczki i zwierzenia odłożyć na później, na razie zaś słuchać cudzych.

– Pan napomknął przedtem, drogi don José, że chyba przesadzam, uważając jednego z moich sąsiadów za łotra zdolnego do wszystkiego, nawet do popełnienia morderstwa – zaczął Ramon. – Niech pan przeto posłucha, jak ja to... to odkryłem i w samą porę unicestwiłem. Słucha pan?

– Słucham z prawdziwą przyjemnością – odparł Józef Lubor.

– Zaczynam – oznajmił Ramon, kończąc drugie piwo – zaczynam streszczać tę historię. W środku maja, jak pan może pamiętać, było parę bardzo ciepłych nocy, a jedna nieznośnie parna, tak jakby to był lipiec, a nie maj. Uchwaliliśmy więc z Maksem spędzić tę duszną noc na płaskim dachu kamienicy, w której mieszkamy na tym samym piętrze. Ja przyniosłem sobie stary materac, a Maks leżak i ze sześć butelek zimnego piwa z lodówki. We dnie alkohol rzadko mnie zmoże, lecz jeśli go sobie łyknę na noc, to potem śpię twardo, jak sumienie lichwiarzy z niektórych lombardów przy 3. Avenue. Maks o tym wie i właśnie dlatego tak mnie zachęcał do picia w ową noc majową. Zasnąwszy nie poczułem nic a nic, gdy on dźwignął mnie z materaca, ani też gdy na rękach niósł mnie przez pół szerokości tego dużego dachowego tarasu, a z niego jest jeszcze większy drab niż z pana...

– Że co? Ze mnie jest drab, pan uważa?

– Boże mój, co ja wyplatom! Wybacz mi, senor; chciałem rzec, iż mój zły sąsiad ekskapitan Maks Blink jest jeszcze wyższy niż pan. Ja zaś sięgam mu głową ledwie do pół torsu i ważę ze sto funtów mniej niż on; mógł więc nieść mnie na rękach jak cielę... powiedzmy

ładniej, jak jagnię. Nie wiem co mnie nagle przebudziło... na moje szczęście... czy blask pobliskiej latarni ulicznej, czy wrzask kotów. Wiem tylko, że gdy się ocknąłem Maks już był ze mną przy niskim parapecie dachu, już, że tak powiem... przesuwał mnie na zewnątrz, nad przepaść. Gdybym obudził się o parę sekund później, byłbym właśnie leciał z szóstego piętra na betonowy bruk!

– Niesłychane! Ten Maks to chyba wariat!

– Zbyt roztropny na wariata. Bo gdy go kurczowo objąłem rękami i nogami, tak że zrzucając mnie musiałby zlecieć w dół razem ze mną, Maks od razu złagodniał. Odnosił mnie na materac z grzecznymi przeprosinami za swój „żart”, za chęć „nastraszenia” mnie tylko. Mimo to zwałem zaraz do mieszkania...

– I zatelefonował pan po policję?

– Nnnie... Policja nic o tym nie wie do dzisiaj ani nikt w naszym domu. Maks zagroził mi, że jeżeli pisnę słówko, to on nawzajem... No cóż każdy z nas ma jakieś sekrety, których ujawnienia boi się jak wojny atomowej...

– Cherchez la femme albo urząd podatkowy, co? Rozumiem. Skoro jednak ten szantażujący pana sąsiad miewa tak mordercze zachcianki i skoro wywiera demoralizujący wpływ na pańskiego synka jak okazało się dzisiaj, to powinien by pan jakoś zabezpieczyć członków swej rodziny przed chodzeniem na dach w pojedynkę.

– Słusznie, słusznie. Synowi zakazę tam chodzić pod groźbą strasznego lania, lecz czym zagrozić dziewczynie? A moja córka Jacinta, to tak samo słabe chuchro jak Pedrito. Słowem, mogę być spokojny jedynie o moją kobietę, bo Ampara suszy bieliznę na dachu tylko wówczas, gdy sąsiadki robią to samo by móc im powróżyc i wysłuchać ich plotek. Jak to kobiety lubią gadać!

– My też, lecz niektórzy mężczyźni nie dopuszczają do słowa innych i sami wygłaszają długie monolog, uważając snadź swój głos za najbardziej melodyjny – rzekł Józef Lubor z uśmiechem tak niemal macierzyńskiej pobłażliwości, że sparzyła ona Ramona gorzej niż pokrzywy najzjadliwszych przytyków.

– Ma pan rację – przyznał ze skrucą. – Teraz ja będę milczał jak grób, a pan zechce mówić. O czym tylko pan pragnie. Na przykład, jak się panu podoba nasza wystawa.

– Hm, jest kalejdoskopowo barwna, niczym niebo o wschodzie słońca koło Rio de Janeiro. Lecz prawdę mówiąc, zdążyłem na razie obejrzeć tylko stoiska na północ od Łuku Waszyngtona. Przyjechałem tu z dużym opóźnieniem przez to, że wybrałem się do Nowego Jorku samochodem, zamiast pociągiem, zapomniawszy o niedzielnym tłoku na autostradach i drogach. Potem z mostu Triboro zapędziłem się omyłkowo na Harlem i Bronx, zamiast skręcić na południe. A tutaj znów przyhamował mnie na kwadrans jakiś malarz wyglądający potężnie niczym Ursus z Quo Vadis; tak mu się spodobały moje jasne wąsy, że chciał koniecznie zrobić mi portret na poczekaniu...

– Za pięć dolarów en face, a pół taniej za profil, co?

– Tak. Inni też tyle żądali. To właściwie bardzo tanio.

– Oleodruki z podobiznami bohaterów i papiery są jeszcze tańsze, lecz to nie dzieła sztuki! Chyba nie dał się pan nabrać.

– Jeszcze nie. Krępowałoby mnie takie, jak to dziś widziałem co kilkadziesiąt kroków, pozowanie do portretu na chodniku, z tuzinem gapiów za plecami artysty, uśmiechających się głupawo. Co innego pozować w domu, w studiu, w cztery oczy, lecz robić z siebie widowisko publiczne?

– Miliony ludzi przepadają za tym!

– Wiem. Zwłaszcza politycy, demagodzy, aktorzy i sportowcy. Ja jednak, ani jako żeglarz, ani jako rolnik nie potrzebowałem reklamy, oklasków, popularności i nadal wolę żyć sobie skromnie na uboczu. Drapnąłem więc skwapliwie, gdy niedoszłego portrecistę mych

wąsów obskoczyło pół tuzina dziewcząt z jakiejś snadź szkolnej wycieczki do Nowego Jorku i...

– Aż sześć zamówień na portrety dostał na raz? – wtrącił Ramon, nie tając konkurencyjnej zawiści w głosie i w mimice wyrazistej swej twarzy.

– Wątpię. Dziewczątka przede wszystkim chciały sfotografować się z nim, czy też na jego tle, boć takich olbrzymów, jak on, nie spotyka się często.

– Nie cierpię olbrzymów, odkąd wiem, że Maks bije swą kobietę i chce ją zmusić do... Ech, mniejsza z tym, pan przecież nie zna tych osób. Grunt, przyjacielu, że nie dałeś się nabrać na portretowanie jakiegoś tam patałachowi. Ja panu gratis zrobię portret pastelowy, za jaki tutaj płaci się dziesięć dolarów! I w studiu pan będzie mi pozował, nie na ulicy.

– Ślicznie dziękuję, lecz z jakiej racji gratis?

– Z tej, że pan nie zadziera nosa, nie patrzy na mnie pogardliwie, jak Maks albo ci tutaj z południowych Stanów, którzy brzydzą się Murzynami i zaliczają do nich także nas, przybyszów z Puerto Rico. – Ramon Perez, choć obiecał milczeć jak grób, znowu rozpędzał swój obrotny język. – Zarozumiali fanatycy białej rasy! Jeśli który z nich ma choć najmniejszą domieszkę krwi Indian, zapomina o tym, że ten z Puerto Rico ma tej szlachetnej krwi najwięcej! I gdzież tu logika?

– Oczywiście, że ani logiki ani sensu nie ma za grosz w rasistycznych uprzedzeniach – rzekł Lubor, zdziwiony, że Perez też uważa krew Indian za lepszą od krwi ludzi czarnych i białych. – Moje polskie prapraprababki, jeśli nawet były cnotliwe jak rzymska Lukrecja przed tym, co ją spotkało, z pewnością musiały nieraz ulec przemocy najeźdźców tatarskich, tureckich, kozackich, szwedzkich, niemieckich albo jeszcze innych. Kto wie, czy w moich żyłach płynie choć dziesięć procent rdzennie sarmackiej krwi, ale to mnie obchodzi mniej niż zeszłoroczny śnieg; ten bowiem mógł zaszkodzić albo pomóc moim krzewom i drzewom owocowym, natomiast bez wpływu na moje finanse i humor jest to, z kim prapraprababunie nocowały i obcowały. Proszę mi wierzyć, panie Ramonie, że nie uważam żadnej na świecie rasy i narodowości za gorszą od mojej ani żadnej za lepszą. Moje hasło to „Vive l’egalite!” Niech żyje równość!

– Poznałem to po pańskim szczerym uścisku dłoni i po przyjaznej nucie, z jaką odniósł się pan do mnie i do mojego synka od pierwszych słów naszej rozmowy. Zaprosił mnie pan do lepszej tawerny i nie wstydzi się pan siedzieć tu przy piwie ze mną, choć przez swe przekłete skołtunione włosy i ciemną cerę mogę wyglądać na Murzyna... Z tych właśnie powodów postanowiłem sportretować pańską szlachetną twarz za darmo.

– Doprawdy ja mogę lekko zapłacić dziesiątkę i...

– Ale ja jej nie przyjmę! – wtrącił Ramon stanowczo, choć nieraz smażył się w słońcu albo przydreptywał w chłodzie dla rozgrzewki pół dnia, zanim upolował piątkę lub jeszcze mniej za „uwiecznienie” na papierze czyjejś twarzy. – Boję się tylko, czy pan nie sądzi, że moje dzieła to na całej wystawie najgorsze kicze, knoty i bohomazy?

– Nie, nie! Z pewnością są jeszcze gorsze od nich!

Komplement Lubora nie wypadł najzgrabniej, ale Perez tego nie zauważył. Pochłonęła go bowiem już kompletnie chęć popisania się przed Polakiem swymi obrazami, a przed Amparą tak rzadkim dla nich *amigo*. Rosły blondyn z jasnym jak konopie wąsem, przy tym liberał bez uprzedzeń rasowych i w dodatku ogładzony facet, to jakby jakiś powieściowy *caballero*.

– Aby pana przekonać naocznie, że nie jestem jakimś tam bazgraczem, jak Hitler, ale nowoczesnym Rubensem – rzekł niski malarz ze skromnością proporcjonalną do swego wzrostu – zapraszam pana do swego stoiska w celu obejrzenia moich tegorocznych prac. Pośród nich „Kamienowanie jawnogrzeszniczy Magdaleny” zdobyłoby niewątpliwie pierwszą nagrodę już w tym roku, gdybym był to arcydzieło wykończył w drugiej połowie maja, gdy rozdawano tu nagrody, ale wtedy byłem zbyt wstrząśnięty moją przygodą z Maksem...

Płacąc przed wyjściem z baru za wszystkie wypite tu piwa, odpędzał od siebie Lubor myśl lubą, a krępującą i natrętą jak mucha w sierpniu, że niebywale tanio kupił sobie portret pastelowy i towarzystwo sympatycznego gaduły na resztę niedzieli i jakby wstęp do przyjaźni z jednym z dożywotnich członków cyganerii, która interesowała go ogromnie, odkąd widział w kinie filmową wersję opery Pucciniego „La Bohème”.

– Wypada mi chyba zaprosić tego odpowiednika Marcella na obiad do najlepszej tu restauracji – mruzczał i sapał z gorąca, bo przez nagły kontrast z lodówkową temperaturą wnętrza tawerny powietrze na rozpalonej słońcem ulicy wydawało się mu akurat takie samo jak w rozgrzanym piecu chlebowym. A cóż za diabelski upał!

Podobnie jak Józef Lubor, narzekali na upał i wachlowali się choćby gazetami wszyscy mniej lub więcej spoceni malarze i przechodnie. Z wyjątkiem jednego: ten tęgi łysoń szedł bez szemrania i wachlowania się, za to z twarzą odrażająco wykrzywioną przez ból i strach przedśmiertny. Szedł naprzeciw Pereza i Lubora, nagle skręcił na jezdnię, zamierzając snadź dotrzeć do drugiego chodnika, a może do widocznej po tamtej stronie apteki, lecz w połowie tej krótkiej drogi chwycił się za piersi i runął jak długi na beton. Nadjeżdżające właśnie auto zdążyło zahamować tuż przed nim i bluznęło nań gniewnym rykiem klaksonu... daremnie, tłuszcioch ani mrugnął i wybałuszonymi oczyma patrzył nieruchomo w chorobliwie błękitne niebo, gdzie jeszcze nie było ani jednej chmurki, choć oprócz Ampary i pesymistów także meteorolog wyczuwał nadciągającą burzę.

– Jaka szkoda, że Maks tego na jezdni nie widzi – zamruczał Perez, a potem błyski nienawiści zamigotały w jego czarnych jak heban oczach.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI